



Janusz Maksymowicz

część I z II

Sygnatura notacji: **N0572**

Data urodzenia: **27.10.1927 r.**

Data nagrania: **19.04.2024 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Grzegorz Łeszczyński**

Czas nagrania: **część I: 65 min, część II: 42 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Janusz Maksymowicz: Nazywam się Janusz Maksymowicz. Na drugie imię mam Waldemar. Urodziłem się 27 października 1930 roku, aczkolwiek faktyczna data urodzenia to jest 1927 rok. Została ona zmieniona po ukazaniu się dekretu ówczesnego prezydenta Bieruta, że kto był w Armii Krajowej ma obowiązek zarejestrowania tego faktu w Urzędzie Bezpieczeństwa. Ponieważ już były informacje, że jest nagonka na wszystkich AK, matka była zdania, żeby jednak zmienić tę datę Urodzenia, tak żebym ja był niepełnoletni i była zdecydowanego zdania, żebym po prostu się nie rejestrował, bo nie wiadomo w jakim celu mielibyśmy się rejestrować. Ale to na marginesie. Ja już od tego 1945 roku jak już używam, prawda, bo tak to już później te wszystkie dokumenty tak zostały sporządzone. A to polegało na tym, że tylko jedynie 27 proboszcz zmienił na 30, a ponieważ byli jakimś takimi kuzynami z matką, to poszedł tutaj na rękę w tej sprawie. Urodziłem się oczywiście w Warszawie. Mój ojciec Józef Maksymowicz pochodził ze wsi bardzo wielorodzinnej i jako najstarszy coś nie miał bardzo specjalnie tego pociągu do pracy na roli. Tym bardziej, że to była sytuacja taka, że rodzeństwo zaczęło się żenić, wychodzić za mąż, więc dziadek musiał odpisywać tam te ileś tam mógł każdemu, kto w tym i to gospodarstwo mała. W związku z tym ojciec, to był taki okres tej pierwszej wojny światowej zaciągnął się do legionów Piłsudskiego, brał też udział w wojnie polsko- bolszewickiej, po zakończeniu której zwolnił się, bo nie miał ani wykształcenia ogólnego, ani wykształcenia wojskowego. Ale podejrzewam, że prawdopodobnie ten udział w tej wojnie pomógł mu dlatego, że dostał pracę w Warszawie, co nie było takie proste i łatwe, jak również mieszkanie. Zaczął pracować w Starostwie Powiatowym Miasta Stołecznego Warszawy, bo tak to się to nazywało wtedy w wydziale szkolnictwa. Tam go skierowali na taki iluś miesięczny kurs laborantów i po prostu pracował w szkole. Przed wojną, jak była ta szkoła powszechna, to były zajęcia teoretyczne, to również były zajęcia praktyczne w takich laboratoriach. Więc jak tam na chemii, fizyce, w tym no to później były te ćwiczenia w tych latach i ojciec obsługiwał,

obsługiwał przygotowanie do przeprowadzenia tych praktycznych jakichś zajęć. Jeżeli chodzi o matkę, to matka Władysława z domu Suska, była córką pracownika gazowni – latarnika, bo dziadek zajmował się przed wojną, jak były te latarnie gazowe, to tam zapalał i gasił, w zależności od pory dnia. Jak wychodziła za męża, to miała lat 18. W związku z tym nie miała kiedy nauczyć się jakiegokolwiek zawodu. I w związku z tym, jak patrzyłem na ten dowód mojej matki, to tam przy pozycji zawód: „przy mężu”. Nigdy nie pracowała, natomiast zajmowała się, jak to zwykle w tym modelu przedwojennym rodziny, zajmowała się domem i dziećmi. A więc dom, wychowanie dzieci, posiłki tak jak to się praktykuje. Po tym, jak już przechodząc już do tego okresu przed wybuchem II wojny światowej, to trzeba powiedzieć, że po zwolnieniu z wojska ojciec należał do Strzelca. No, miał mundur w domu, prawda, chodził regularnie na te ćwiczenia czy też spotkania. I w związku z tym jak była ta napięta sytuacja międzynarodowa i wszystko to groziło wojną, ojciec powołany został na ćwiczenia wojskowe na jeden miesiąc, na miesiąc lipiec. Ponieważ się nic nie wyjaśniło, to te ćwiczenia przedłużono na następny miesiąc, na miesiąc sierpień. No a później wiadomo, że wybuchła wojna i ojciec brał udział w wojnie obronnej 1939 roku. Ponieważ miał świadomość, że ktoś musi pracować na utrzymanie rodziny. Matka była nie była przygotowana do pracy, więc zwrócił się do dowódcy, żeby po prostu dostać takie zaświadczenie, że po odbyciu ćwiczeń i udziale w wojnie zostaje przeniesiony do rezerwy i zwolniony z wojska. Po prostu, dlaczego? Dlatego, że ojciec nie chciał iść do niewoli, prawda? Jak do niewoli miał świadomość, że ani ja, ani młodsza siostra nie jesteśmy jeszcze przygotowani do tego, żeby pracować na utrzymanie rodziny. I chodziło ojcu o to, żeby to formalnie było załatwione, żeby miał dokument, żeby nie był posądzony, że on zdezerterował, że to zrobił jakoś coś samodzielnie. Oczywiście okres okupacji. Byliśmy cały czas. Mieszkaliśmy w Warszawie, z tym że do 1944 roku mieszkaliśmy na Bródnie, a później ojca przenieśli, prawda? Na Starówkę, znaczy do dzielnicy Stare Miasto i w związku z tym mieszkaliśmy już na ulicy Jezuickiej 4. To jest ulica od Rynku Starego Miasta do Kanonii. Tam też mieszkali i ojciec już po zakończeniu działań wojennych i wojny obronnej od razu związał się z podziemiem, Związkiem Walki Zbrojnej. No a później, jak to przekształcone zostało w Armię Krajową.

Grzegorz Łeszczyński: Czym się ojciec zajmował?

Janusz Maksymowicz: Ponieważ ojciec był w wojskach pancernych, prawda w związku z tym krótką broń miał, nie tak jak piechota karabiny. To z tej wojny tam przywiózł troszeczkę takich tych pistoletów, bo jak to na wojnie jest, na wojnie jest to bardzo łatwo zdobyć takie, prawda tego typu broń. No i jak już, że tak powiem, tam powstała Armia Krajowa, to ojciec troszeczkę wciągnął mnie do pomocy. Zostałem zaprzysiężony i moja rola polegała na tym, żeby wziąć parę egzemplarzy za pazuchę, jak to się mówiło kiedyś, prawda i pod tam określone adresy po te parę egzemplarzy dawać. To odbywało się w sposób taki, że nie można było sobie mieć zanotowanego tego adresu, tylko trzeba było go zapamiętać. I był podawany za każdym razem inne hasło i odzew. Więc jak się tam coś pukało, to mówiło się to powiedzmy to hasło, odzew się zgadzał i się przekazywało tam tą. No, czasami zdarzały się, że jakieś tam meldunki, ale treść tych meldunków to oczywiście ona też była jakoś to umownie zaszyfrowana. Zresztą nigdy nie zaglądałem, bo było powiedziane, że mam się tym nie interesować co w tym meldunku jest.

Grzegorz Łeszczyński: Panie Januszu mam pytanie: czyli pan został zaprzysiężony w AK, czy w harcerstwie w Szarych Szeregach?

Janusz Maksymowicz: Ja byłem zaprzysiężony w AK w tym oddziale, w którym ojciec tam był. Nie w Szarych Szeregach. Ja. To znaczy w tej, że tak powiem grupie, w której ojciec był, prawda, bo to ojciec wszystko organizował, bo ja oczywiście byłem ten chętny i to ja naciskałem, prawda w tym. I jeszcze prawda. Ponieważ ojciec miał takie zadanie, mianowicie zajmowanie się bronią służbową oddziału, konserwacją tam, przechowywaniem. I jak otrzymywał rozkaz, że idzie grupa i tym i tym należy wydać taką a taką broń, no to ojciec wydawał tę broń i był taki obowiązek, że po zakończeniu tej akcji każdy musiał tam oczywiście pojedynczo i w pewnych odstępach tę broń zdać do ojca. No i tak się zdarzyło, że jeden właśnie z tych uczestników tej grupy, która miała, szła na pewną akcję nie znał tej broni. Poszedł do szynku. Tam sobie wypił jedną setkę, drugą, ciepło się zrobiło, więc rozpiął marynarkę i ktoś zauważył, że za tym pasem jest broń, pistolet, prawda? Telefon błyskawicznie gestapo i w Aleję Szucha. Tam według wszelkich prawdopodobieństw No, tak powiem po prostu na pewno na skutek tego jakiegoś terroru, tego bicia. Bo podobno na pytanie czy on brał coś – „Nie, nie, to przypadkowo” . „No dobrze, ale skąd masz broń?” No więc w końcu w wyniku tego jakiegoś tam bicia zdradził, że dostał od Józka Maksymowicza adres. Błyskawicznie w nocy przyjechało gestapo, Przeszukało nam bardzo dokładnie mieszkanie, ale w mieszkaniu ojciec nie trzymał tej broni. Do mieszkania, tylko przynosił wtedy jak po tej akcji to on czyszczeniem się zajmował, czyszczeniem, naoliwieniem i tego, bo zrobił taką skrytkę na podwórku. A gestapo nie wpadło na pomysł, żeby tam, bo to wymagałoby jednak bardzo dużych poszukiwań. Taką zupełnie zmyślną zrobił na podwórku skrytkę, gdzieś tam, gdzie ta broń była przechowywana. No i ustawili nas po lewej stronie ojca i mnie, a po prawej stronie matkę i młodszą siostrę. Tak by wynikało, że prawdopodobnie chcieli ojca i mnie zabrać, ale później oni sobie coś tam „poszpergowali” między sobą Niemcy gestapowcy. I w końcu mnie tam wziął jeden za kark, kopnął w tyłek i że tak powiem, przerzucił mnie, znaczy odepchnął mnie pod tę drugą ścianę, gdzie była matka, siostra w tym. I zabrali tylko Niemcy ojca. Później jak tam zdawałem relacje, jaki miało przebieg aresztowanie to ten kolega dowódca powiedział tak: „słuchaj, to ty musisz zapomnieć pierwsza sprawa o tych adresach, pod którymi tam dostarczałeś materiały. Drugie: staraj się w ogóle w tamte okolice nie chodzić, bo prawdopodobnie oni dlatego nie wzięli cię, nie wzięli cię razem z ojcem, bo pewnie uzgodnili, że ustawią za tobą ogon i mogą cię tam śledzić po to, żeby dojść do innych. W związku z tym – mówi – to w takim razie nie ty z nami kontakt, tylko my będziemy zawsze kontaktować się z tobą”. Tę datę pamiętam do dzisiaj doskonale, tę datę aresztowania. To było 13 października 1943 roku. W zwyczaju gestapo było to, że oni najpierw pierwsze śledztwa prowadzili w Alei Szucha. No a później, bo to tam ograniczone były możliwości trzymania aresztantów i później tych aresztantów przewozili do więzienia Pawiak. Jak potrzebowali i sobie zaplanował taki gestapowiec, że będzie prowadził śledztwo, to dawał taki a taki wykaz i tam odpowiednia służba SS jechała na Pawiak z tą listą i tych więźniów zabierała do budy i wozili ich na to śledztwo, na te przesłuchania w Aleje Szucha. No tak, jak mnie tam powiedzieli koledzy, że przy pomocy przekupstwa załatwili tak żeby... Bo trzeba jeszcze powiedzieć, że każdego dnia wychodziły transporty z Pawiaka do Auschwitz i żeby właśnie z tej grupy, bo to zawsze na tym, w tym jest jakieś tam pewne zamieszanie i żeby ojca z tej do tej kolumny, która przewidziana była do wywozu do Auschwitz przesunęli. Chodziło prawda tam kolegom tego mojego ojca o to, żeby po pierwsze, żeby już nie dalej, żeby już nie cierpieć i nie znosić tych przesłuchań, które które były bardzo ciężkie te przesłuchania, a z drugiej strony być może, że obawiali się, że może w pewnym momencie nie wytrzymać i coś powiedzieć, to, co nie powinien powiedzieć, a Niemcy chcieli wydobyć, bo im chodziło o to, żeby dojść coraz to coraz to wyżej, żeby nie tylko tam na dole aresztować, ale dojść do powiedzmy, kierownictwa. No i ojciec został wywieziony, został wywieziony do tego Auschwitz i z tego... Aha, jeszcze jak był na Pawiaku, to dostaliśmy taką kartę w dwóch językach, że ojciec dostał zgodę, żeby otrzymywać raz

na miesiąc taką paczkę żywnościową do 3 kg. I tam były takie jakieś ograniczenia. I o dziwo ten dokument nawet się zachował dzięki babci, bo babcia te dokumenty tak zbierała, a mieszkała na Bródnie po prawej stronie, prawda? Bo myśmy mieszkali lewobrzeżnej w Warszawie no i wiadomo, że to wszystko uległo zniszczeniu. Tak że nawet zachowały się i ta karta z Pawiaka, chyba 3 czy 4 listy z Auschwitz i jedna z Mauthausen, bo na przełomie 1944/1945 ojca przewieźli z Auschwitz do Mauthausen. Ja nawet mam te listy, bo dzięki uprzejmości kierownika Muzeum Pawiaka dała mnie kontakt do takiego konserwatora, żeby te listy, że tak powiem, troszeczkę poprawić. Bo to dla mnie prawda jest przeogromna pamiątka. Jak pana redaktora to będzie interesowało, to mogę nawet te listy pokazać. Oczywiście, to później po rozmowie. Tak. Mogę pokazać, bo po tej konserwacji całkiem fajnie te listy wyszły, prawda? Oczywiście listy były pisane po niemiecku. No jak to zwykle treść taka była, że jak w sanatorium się tak czuję. To nie mogę napisać to co czuje, tylko to, co tamten tłumacz uważał, że przepuści cenzura, bo wiadomo, że nim z obozu to wyszło, to podlegało to cenzurze.

Grzegorz Łeszczyński: I teraz, jak [doszło] do powstania?

Janusz Maksymowicz: Ale jeszcze zanim przejdziemy do samego powstania, to chciałbym się cofnąć jeszcze do roku 1939. Proszę powiedzieć, jak pan wspomina wrzesień 1939 bombardowanie Warszawy.

Grzegorz Łeszczyński: Mieszkaliście państwo na Starówce?

Janusz Maksymowicz: No tak, to wiadomo pierwszego września coś, co niespotykane było, prawda? No oczywiście, był obowiązek, że wszystkie te okna, szyby były takie czarnym, tym czarnym, tym takim kartonem, nie kartonem, jak to powiedzieć papierem musiały być, prawda, żeby utrudnić lotnikom niemieckim orientację i żeby w czasie tego ich bombardowania Warszawy. No sam pierwszy wrzesień to alarm lotniczy, prawda? Trzeba było do tych schronów. Już nie pamiętam którego dnia, ale we wrześniu również bomba spadła na ten dom Jezuicka 4 z frontu, bo on był, front był Jezuicka 4, później wychodził na takie podwórko i z podwórka było przez bramę wyjście na ulicę Brzozową i tutaj ten front przez cały okres już okupacji on był nieczynny, nieczynny z powodu zniszczenia tego skrzydła. Tego skrzydła. No ja pamiętam tylko takie fragmenty jak tam nasza obrona przeciwlotnicza strąciła jakiś jeden samolot niemiecki. To my jako młodzi chłopcy poleciliśmy tam na ulicę, tam poniżej bagna i każdy sobie chciał coś, jakieś... Ja pamiętam, że człowiek się cieszył, że kawałek takiego odłamku z aluminium przyniósł. Oczywiście tam policja to odradzała i trochę nas przed tego, ale, ale że tak powiem, cieszyłem się, że taką pamiątkę, że się udało strącić. Ten samolot niemiecki. Życie, jak to w czasie bombardowania jest.

A czy pamięta pan może płonący Zamek Królewski?

Janusz Maksymowicz: Bo to jest taki też symbol Września '39. Tak, tak, pamiętam jak płonął. Pamiętam, nawet pamiętam nawet ten Plac Zamkowy, jak był pogrzeb marszałka Józefa Piłsudskiego, jak ten kondukt ruszył z katedry. Ja akurat byłem, przez Kanoninę dotarłem na ten plac Zamkowy, także też pamiętam, że tak powiem, ten moment tego pogrzebu. A tak wracając jeszcze na chwilę do tego '39 roku, czyli bombardowanie Starego Miasta. Rozumiem tutaj państwa dom też częściowo został uszkodzony. Tak, tak, tak.

Grzegorz Łeszczyński: I rozumiem, że już po zakończeniu tych działań frontowych w 1939 jakoś był odbudowany, państwo tam pozostaliście w tym domu?

Janusz Maksymowicz: Nie, on nie był odbudowany. Ten front dalszy był. Z tym, że ta część, bo tylko na sam front samą w tym. Natomiast ta druga część od strony Wisły była nie ruszona. Były oczywiście tam ścianki działowe. To tam notabene ojciec schował jak odbudowywano tę ściankę działową, tam schował dwa takie pistolety z kaburami i zapasowymi że tak powiem magazynkami i ja z tym poszedłem do oddziału później. Także nie, samo to mieszkanie nasze nie było, bo ono było od tej właśnie, myśmy mieli okna, mieszkania właśnie na to podwórko. To był taki dosyć, nie taki jakiś szczupłutki, tylko takie dosyć szerokie. To się nazywało Muzeum Pedagogiczne, bo tam w tym prowadzono naukę, ale głównie prowadzono dla nauczycieli. Ja mówię o okresie przedwojennym. Także tutaj to nasze mieszkanie nie było, prawda... Mieszkanie ojca, mieszkanie dyrektora, profesora Paczuskiego, który też mieszkał, prawda, nie były naruszone, nie były naruszone.

Grzegorz Łeszczyński: A proszę jeszcze powiedzieć, ile pan miał lat, kiedy pan został zaprzysiężony w Armii Krajowej?

Janusz Maksymowicz: Chyba gdzieś pod 15. Czyli 1942 rok. Tak, 15 lat, prawda? Musiałem być przecież tego. No bo jak ja tam roznosiłem te „Biuletyny informacyjne”, no bo przecież wiadomo, że zaraz w październiku było polecenie, że wszyscy, kto ma radiodbiorniki był obowiązek zdania go, były punkty i trzeba było to zdać. Jeżeli się nie zdało, no to wiadomo, Niemcy się tam nie patyczkowali i w najlepszym wypadku wysyłali do „sanatorium” do Auschwitz, prawda? A jak nie, to potrafili po prostu zabijać. Po prostu prawo wojny i koniec. Więc były tam te szczekaczki i to pamiętam, że jak tam kiedyś ten wydział propagandy Armii Krajowej podłączył się pod te szczekaczki i puścił, prawda, hymn Polski, prawda? I później te właściwe informacje, bo te szczekaczki, te megafony, jak to się mówi dzisiaj, to oczywiście taka była nachalna propaganda niemiecka pod hasłem zwycięstwa Niemiec na wszystkich frontach. No to pamiętam ten entuzjazm ludzi, jak wszyscy stanęli, a tu nagle hymn Polski i tu w tym... No i krótkie te informacje, bo to wszystko trzeba było króciusińko, prawda? Dlaczego? Dlatego, że zaraz Niemcy szukali przy pomocy tych, tych swoich wozów specjalnych, z którego miejsca jest to nadawane. Ale to pamiętam straszny entuzjazm w ludziach, prawda? Po prostu ludzie uwierzyli, że jednak ta Polska Podziemna istnieje i że wcześniej czy później to ostatecznie uda się pokonać tego zniechęconego wroga. A jeszcze teraz jedna rzecz mi się przypominała, bo dzisiaj mamy rocznicę powstania w getcie warszawskim, prawda? Teraz też słyszeliśmy wyjące syreny.

Grzegorz Łeszczyński: Chciałbym zapytać, czy pan jakoś zapamiętał, może też jako obserwator, jak to samo powstanie w getcie? Jak ono było pacyfikowane, jakieś wspomnienia z tym wydarzeniem czy ma pan związane?

Janusz Maksymowicz: To znaczy, wie pan. Oczywiście jak wiadomo, getto było otoczone tym murem. Ja tam w żadnej akcji przed wybuchem bo tam była określona udzielana pomoc, prawda? Ja w tym nie uczestniczyłem. Natomiast pamiętam te pierwsze tam jakieś tam łuny pożarów, prawda? Odgłosy strzałów. No jak to jak to w powstaniu.

Jak to w powstaniu.

Grzegorz Łeszczyński: Czy to było widoczne jakoś tak z daleka?

Janusz Maksymowicz: Z bardzo daleka to może nie, ale powiedzmy ten Muranów to nie było aż tak daleko oddalony od Starówki, prawda? Od Starówki także jak żeśmy dowiedzieli o tym, no, za bardzo blisko nie można było, bo to było przecież poza tym, że ten mur to esesmani obstawiali tam, były tam te poszczególne posterunki.

Grzegorz Łeszczyński: Ale była jakaś informacja, co tam się dzieje?

Janusz Maksymowicz: To znaczy informacji przez te szczekaczki to ja sobie jakoś tam nie bardzo przypominam, ale była informacja w „Biuletynie”, prawda? Bo miałem prawo również przeczytać ten „Biuletyn”, bo błyskawicznie, prawda w „Biuletynie” ta prawdziwa informacja się ukazała. Aczkolwiek ja mówię, że ja tam w tej pomocy akurat ja nie uczestniczyłem.

Grzegorz Łeszczyński: A miał pan jakichś znajomych, kolegów pochodzenia żydowskiego?

Janusz Maksymowicz: Tak! No w tym oczywiście, bo tam kiedyś tam nie było... Może na wsi trochę tam bardziej tego, ale tak to, to tam specjalnie to byli koledzy. No było przykre, że ich tam sąsiadów wzięli, wysiedlili i przesiedlili, prawda? No, do tego stworzonego getta, prawda? Bo początkowo to oni mieszkali, prawda? Musieli tylko te opaski nosić i ich tam zaganiali do roboty, kazali śpiewać, prawda? Pamiętam takie te niektóre fragmenty kazali Żydom śpiewać, że „Marszałek Śmigły-Rydz nie zrobił dla nas nic. Przyszedł Hitler złoty, nauczył nas roboty”, a ich oddziały zapamiętałem, jak szły w takich szeregach z tymi tam łopatami czy innymi tego... No a później jak powstało to getto, to ich przesiedli wszystkich z tych tzw. dzielnic aryjskich do getta.

Grzegorz Łeszczyński: To wróćmy w takim razie teraz do wybuchu Powstania Warszawskiego. Może najpierw do samych przygotowań. Kiedy się pan dowiedział o tym, że Powstanie wybuchnie?

Janusz Maksymowicz: Ja dowiedziałem się w przeddzień, w przeddzień. Bo ja mówię byliśmy w kontakcie... Właściwie to oni ze mną. I oni mnie bardzo pomogli. Bardzo. Ta grupa... Koledzy ojca. Koledzy ojca bardzo mnie pomogli.

Grzegorz Łeszczyński: Dlaczego?

Janusz Maksymowicz: Dlatego, że jak ojca aresztowali, to był problem środków do życia. Więc oni mnie pomogli znaleźć pierwszą pracę. To oni po prostu powiedzieli tu i tu idziesz, prawda? No i na ulicę Przemysławą, do warsztatu ślusarskiego. Ja tam pierwszą pracę miałem w tym, ale to była bardzo ciężka praca, bardzo ciężka praca dla takiego chłopaka w moim wieku. Bo to tak się mówiło, że ślusarskie. Ale główna robota polegała na tym, że jak były te zdezelowane, te takie ciężarówki, te półciężarówki, to te chłodnice się strasznie psuły. No i w związku z tym przyjeżdżali i trzeba było zdemontować z tego samochodu te chłodnice. Była taka kadź z wodą, trzeba było z jednej strony takim

gumowym tym zatkać, a z drugiej strony była też taka się nakładało i tą pompką się tego. I tam gdzie to powietrze, że tak powiem, pęcherzyki powietrza też było. Więc jakby było wiadomo, że w tym miejscu trzeba w tym. Ale ja tego nie robiłem. To już robili prawda tam ci fachowcy. Moje zadanie to było obsługiwanie tej, bo tam były butle z tlenem i taki wielki kocioł. Kocioł, który wytwarzał acetylen. I takie były szuflady. Dwie szuflady się wkładało z karbidem i powiedzmy jak ten suchy karbid to jeszcze jako tako, ale później, żeby to oczyścić, to on był zmieszany z wodą. To było bardzo ciężkie. Ciężka taka praca, tam trochę była tych ślusarskich, jakichś robót, ale to nic takiego, jakiegoś dokładnego, bo też nie byłem wykształcony na ślusarza, prawda? Ale po tym jak tam powiedziałem, że strasznie jakaś ciężka dla mnie ta praca, to załatwili mi drugą pracę na ulicy Miodowej. Z kolei w takim zakładzie zegarmistrzowskim. Była taka moda przed wojną jak wiecie panowie, to panowały zegarki kieszonkowe. A w czasie okupacji była moda, żeby te kieszonkowe przerabiać na te tutaj, te na ręczne, takie tak jak to dzisiaj, prawda? No oczywiście, to były takie duże, takie te, bo to się mówiło wtedy na to „cebula”. „Cebula”. I do tego zakładu przechodziły takie odlewy mosiężne, i na tokarce ja robiłem pierwszą obróbkę. Pierwszą Obróbkę. To była nawet dość ciekawa taka praca, pierwsza obróbka tego korpusu, tego żeby tego zegarka, ale później już tam te precyzyjne to już majster sam robił. To była nie była ciężka praca, fajna, tylko mało płatna. No to znaleźli mi trzecią pracę na ulicy Świętokrzyskiej. W takim dużym mieszkaniu był taki zakładzik chemiczny. W tym zakładzie produkowane były pasty do podłóg i świece. Były takie szablony, więc tam trzeba było ten knot cały ten i później się zalewało to woskiem. I później trzeba było rozwozić też do tych mydlarni, bo jak w tych takich średnio zamożnych, no to tam, gdzie były te parkiety, to nie było tak jak dzisiaj, że się lakierem po i człowiek parę lat nie myśli o tym, a tam dosyć często trzeba było tę podłogę piastować i później froterować. I to była najlepiej płatna, to już tam dobrze zarabiałem, bo ja musiałem zarobić na nie tylko na siebie, ale i na matkę, i na młodszą siostrę. Ale to mówię to bardzo w jakim sensie odczuwałem tę pomoc, tych kolegów ojca, bo wiedzieli, że ja, młody chłopak, też nieporadny w tych takich życiowych sprawach, bez doświadczenia, to bardzo mnie, bardzo mnie pomogli także. No i wracając do tego wątku. W przeddzień już przyszli do mnie i powiedzieli tak: „Jutro o godzinie 17.00 w ramach akcji ‘Burza’ wybuch powstania”. I podali mi godzinę, podali mi adres konkretnie, że mam się zameldować na ulicy Długiej 29. To był taki Hotel Polski, tak się nazywał Hotel Polski. Tam mam się zameldować u dowódcy kompanii szturmowej Armii Krajowej P-20. I tam się zameldowałem. Przyniosłem, bo powiedzieli... Wiedzieli, że ojciec miał tam coś zakamuflowane. „To weź tam – mówi – to się przydadzą tego”. Ja wziąłem te dwa pistolety. Jeden to był Vis, drugi to był Walter. I tak sobie pomyślałem Waltera, to sobie zatrzymam, a Visa dam do dyspozycji dowódcy. Wtedy Tadeusz Garlicki był dowódcą tej kompanii. No ale nie, ale widocznie jemu się też lepiej podobało Walter, bo powiedział, że się zgadza, żebym sobie zatrzymał jako broń osobistą tego Visa, a Waltera on wziął. No co ja mogłem zrobić, prawda? Także w przeddzień dopiero wiedziałem. Aczkolwiek mówiło się, że przewidywana jest ta akcja „Burza” i to powstanie, i tak dalej, bo takie założenie było. Ale o jakiejś dokładnej dacie to dowiedziałem się w przeddzień. To przeddzień.

Grzegorz Łeszczyński: Proszę powiedzieć, czy wśród pana i pana kolegów były duże oczekiwania względem wybuchu powstania? Czekaliście na ten dzień na Wybuch powstania?

Janusz Maksymowicz: Bardzo! Nie no to było marzeniem. Przecież już było wiadomo, że Niemcy, że się ewentualnie wycofano na z góry upatrzone pozycje. Już było wiadomo, że Niemcy ponoszą przeogromną klęskę, były wiadomo już o tych dwóch przyczółkach, więc wszystko wskazywało na to, że jest tuż, tuż, tuż, tuż, tuż, prawda?

Często zadają mnie pytania czy było sens wybuchu, powstania i tak dalej. Jak zwykle pewne przemyślenia, ewolucje i uważam dzisiaj, że absolutnie tak. Dlaczego? Dlatego, że w tym 1944 roku, po tych tylu latach, tej upokorzenia, tej pogardy, tego nie liczenia się z tym nikt nie był żadnej takiej siły nie było wtedy w Polsce, żeby zatrzymać młodzież. Młodzież żądna była odwetu, zemsty. Może dzisiaj to brzmi brzydko, prawda? No bo zupełnie w innych czasach żyjemy, ale wtedy byliśmy żądni, naprawdę żądni odwetu. Za to wszystko, co nam zgotowała Trzecia Rzesza. I powtarzam, że dzisiaj to może wstyd, ale jak człowiek zabił Niemca, to się cieszył z tego, był dumny. Ale właśnie, jak pan wspomina, sam dzień wybuchu powstania, czyli 1 sierpnia, zgłosił się pan pod wyznaczony adres. Zgłosiłem się i że tak powiem, pierwszego dnia. Ja to znaczy tak w ogóle ta kampania była w miarę bardzo dobrze uzbrojona. W związku z tym przez te pierwsze dni brała udział w tych operacjach ofensywnych. Ale wracając do tego pierwszego. Przeogromny entuzjazm, morze flag, ludzie tak się zmobilizowali, żeby szyć na gwałt te biało- czerwone, które były. Flaga polska była, także momentalnie tamte tereny, które były opanowane przez powstanie. Powstanie, morze tych flag, ten entuzjazm, bo można było sobie nucić czy śpiewać, czy coś. No i te flagi pamiętam i ludzie tacy na ulicach szczęśliwi, prawda? Że przez rzekę z drugiej strony Wisły słychać było odgłosy wystrzałów artyleryjskich. To znaczy, że front się zbliża. Powstanie, jak wiemy, było założone, że potrwa 3 do 5 dni, prawda? Trwało, jak wiemy 63 dni.

Grzegorz Łeszczyński: Proszę jeszcze powiedzieć czy pan informował mamę, że pan będzie walczył w Powstaniu?

Janusz Maksymowicz: Mama trochę nie puszczała... Ja się po prostu wyrwałem z domu. Ja się po prostu z mamą, bo ona obawy jakieś miała, Tego to ja tego tematu już tam nie tego, tylko wyrwałem się z domu i koniec. Czyli przekazał pan po prostu informację, że idzie pan do powstania. Tak. No, no. Mama miała wątpliwości tego... No ale. Ja nie posłuchałem jakichś tam uwag czy coś takiego. Tak normalnie z domu się wyrwałem. I proszę powiedzieć, jak te pierwsze dni wyglądały, bo pan był łącznikiem na początku powstania. To znaczy tak: meldunki się przenosiło, bo w tym. No, ale później byłem strzelcem. Później to był ten okres, kiedy przeszliśmy do obrony i zajęci byliśmy w pierwszym rzędzie budowaniem barykad. Barykad czy też innych reduty obronnych, prawda? Myśmy mieli tam określone takie... Najdłużej byliśmy na tej barykadzie Tłomackie, Rymarska. Tych ulic dzisiaj nie ma, prawda? Tam żeśmy ryglowali, że tak powiem, dostęp Niemców do Starego Miasta od strony ulicy Leszno, bo ta Leszno nie tak jak teraz jest ta krótka, kończy się i wpada w te aleje Solidarności. Ta Leszno to szła tam aż do Wisły. No i zbudowanie tych, tych powiedzmy, barykad, a później, jak Niemcy się zorientowali, Hitler się zorientował, że Stalin zatrzymał ofensywę, no to ściągnął z frontu tam ileś tam dywizji do tłumienia powstania. Z tym, że on nie był w stanie całego miasta zaatakować. to dzielnicami atakował.

Grzegorz Łeszczyński: Chciałem zapytać, czy pan jakoś zapamiętał może rzeź Woli, bo to było tak na pograniczu?

Janusz Maksymowicz: Ja nie byłem na Woli, nie byłem na Woli, ale byliśmy, tam byli koledzy, którzy byli na Woli i się właśnie wycofali z Woli. I oni mieli mieli tam szczęście, ale właśnie mówili, że tam strasznie straszne rzeczy się, że to, co się nazywa dzisiaj Rzezią Woli, bo wtedy tam nie patrzyli. Dziecko – dziecko, kobieta – kobieta, uczestnik powstania czy nie-uczestnik to wszystkich mordowali bez żadnych tych. Ale większość oddziałów się wycofała,

po prostu wycofała się. A w międzyczasie były jakieś przygotowane pewne te barykady i już przeszła Armia Krajowa w zasadzie do obrony. Aczkolwiek były pewne akcje takie ofensywne w postaci teje... Parę razy były podnoszone ataki na Dworzec Gdański. Ja muszę powiedzieć, że nie jestem specjalnie strategiem. Nigdy zawodowym żołnierzem nie byłem, ale wystarczyło zbombardować, że tak powiem, dwa najbardziej takie obiekty wojskowe. Jeden to Dworzec Gdański, bo Niemcy ściągnęli najcięższe działa kolejowe i one z tego Dworca Gdańskiego wystrzelowali. Ale oni tam byli tak uzbrojeni, że żadnych tam się nie dało szans zdobycia tego Dworca Gdańskiego było w tym. Można było tylko silnymi bombardowani wziąć i zniszczyć. A w pierwszym rzędzie ten pociąg pancerny z tymi najcięższymi działami, które tam różnie myśmy nazywali, to albo „rycząca krowa”, albo „szafa grająca”, bo to strasznie, że tak powiem, huk. Jak ten pocisk leciał, to straszny to był huk. Ja na przykład też miałem wątpliwe szczęście, że obok mnie przeleciał i na prawe ucho od 1944 roku nie słyszę, tylko na lewe. Po prostu dlatego, że uszkodzony został bębenek na skutek tego silnego huku. I drugie to lotnisko polowe w Sochaczewie, gdzie Niemcy sobie bezkarnie latali niziutko i mieli doskonale widoczne cele. A to powiedzmy z takiej broni ręcznej strącić taki samolot to jest bardzo, że tak powiem trudno. Nie mając artylerii przeciwlotniczej. A myśmy nie mieli, bo tam czołgi to nie były takie groźne. Ja nawet dostałem awans za pewną akcję na starszego strzelca. To proszę opowiedzieć też o tym. Proszę. Proszę opowiedzieć o tym, o tej akcji. Jak Niemcy tam któryś z kolei był szturm, to znaczy oni atakowali, szły te trzy czołgi i za każdym czołgiem szedł ten Wehrmacht, który krył się za tymi czołgami. I jak to powiedzieć – po drugiej stronie dzisiejszego ratusza, w tej dzisiejszej alei Solidarności był taki budynek, który był troszeczkę niżej, prawda. Ale tam myśmy mieli tam taki pewien posterunek, boczny taki. A barykada była na Tłomackie, tam jak tam była mała Pasta, prawda? W tym budynku tam tego nie ma, to trudno jest to tak wyjaśnić. Mogę na mapce pokazać gdzie to jest. – W okolicach ulicy Leszno i dzisiejszej Alei Solidarności. Tak, dzisiejszej tego. No i tam koledzy nie wytrzymali, zobaczyli, że taki silny idzie i jest tych dużo i zeszli z tego posterunku. Jak dowódca się o tym zobaczył [dowiedział], to był wściekły się, prawda? No i bezwzględnie trzeba, poza tym, że my z frontu, jak będziemy atakowani z frontu, to tam jest z boku, zawsze trzeba takie wsparcie tego być. No i w związku z tym mówi „kto na ochotnika?”. No i ja się zgłosiłem też. Było nas trzech, ale mówimy tak: „Mamy pistolety i karabiny, peemy”. No to oczywiście peemy dostaliśmy odpowiednią ilość tam granatów i tych butelek. Ponieważ to był dom częściowo zniszczony i ta klatka schodowa, te schody były takie wiszące, że tak powiem, a w tym młodzi chłopcy to było nic, myśmy wymyślili, żeby nie na parterze mieć, tylko sobie pójść na te piętro i trzeba było, trzeba było iść po tych schodach zrujnowanych to nie było w tym, to było takie podciąganie się, podawanie. I myśmy sobie na to pierwsze piętro się dostali mieliśmy piękny widok ich z boku. I z boku. I w związku z tym zaatakowali ich granatami i butelkami. A czołg jak się trafi w tę gąsienicę, bo to dwa takie punkty, najlepiej jedna gąsienica najpewniejsza i w zbiornik ropy, ale tam szybsza reakcja jest jak się w gąsienicę. Jak ta gąsienica się zerwie w wyniku tym, to ten czołg mając jedną tylko gąsienicę on się tak kręci wokół, jest już bezbronny i zaczyna się palić, zaczyna się palić i powoli ten ogień w tym czołgu dochodzi do tego baku. To grozi to w ogóle wybuchem i tak dalej. To co załoga w pierwszym rzędzie opuszcza, prawda? Bo to już jest niebezpieczne, a nie ma się za czym skryć ta piechota. To myśmy sobie strzelali sobie tak dosyć dobrze, jak do kaczek, jak to się mówi. No i wszyscy dostaliśmy awanse. Ja ze strzelca na starszego strzelca. Pierwsza belka. Byłem strasznie dumny, że to pierwszy awans w życiu. To było jeszcze w sierpniu. Tak, tak, to wszystko jeszcze było w sierpniu, to jeszcze wszystko było w sierpniu. Także ten zapamiętałem tak dobrze, bo to wywarło bardzo duże wrażenie u mnie w życiu z powodu tego pierwszego w życiu wojskowego awansu, prawda?

Grzegorz Łeszczyński: A pamięta pan dokładną datę, kiedy miał miejsce?

Janusz Maksymowicz: Właśnie nie pamiętam, bo to już trudno tak to wszystko sobie. Przecież człowiek nie pisał kroniki, człowiek był zielony. Dzisiaj to ja bym wiedział, bym sobie kroniki każdego dnia pisał, ale wtedy się nie pisało, prawda? Wtedy jak się schodziło z barykady na kwaterę, to pierwsza rzecz się kładź człowiek na tę podłogę. Bo był niedosyt snu. I się spało, bo nigdy nie było wiadomo jak długo. Bo jak gdzieś trzeba było na innym odcinku gdzieś tam Niemcy zaatakowali i trzeba było wzmocnić załogę, która broniła, no to podrywano jak to się mówi alarmem i trzeba było szybko tam pędzić na tę inną barykadę czy na jakąś tam prawdę, Redutę i wspomóc tam kolegów, żeby odeprzeć atak.

Grzegorz Łeszczyński: A proszę powiedzieć, jak wyglądała ta służba na barykadzie?

Janusz Maksymowicz: Służba na barykadzie to się stało i się patrzyło. Jak jest spokój, to jest spokój. No, trzeba było albo się siedziało, ale musiało kilku tam patrzeć przed siebie stale, czy będzie atak, czy nie będzie. Nie było tam jakiejś normy, że to tam tyle godzin się tego tak długo, póki nie przyszło zluzowanie, prawda? Jak przyszło zluzowanie, to schodziło się z barykady i że tak powiem i wymarsz był na kwaterę. Obejmowało służbę, w tym także. Nie było jakiejś tam normy, że po takim tym... Jak była możliwość, tak. A dzień 26 sierpnia to dla pana bardzo ważny w powstaniu. Został pan wtedy ranny. Wtedy byłem ranny. Wtedy też właśnie tak się złożyło, bo w kilku miejscach byłem, ale najwięcej byłem właśnie na tej barykadzie Tłomackie. To był atak frontalny i że tak powiem, ja się wychyliłem z bronią, żeby zobaczyć, czy przypadkiem nie widać jakiegoś Niemca zza tego czołgu, żeby tam do niego strzelić, bo strzelenie do czołgu nie miało żadnego sensu. Można tylko było albo granatem, albo w tym, ale to musiał być i zbliżyć się na odpowiednią odległość. No i niestety z czołgu puścił serię, serię z karabinu maszynowego. No i trafił mnie tutaj powiedzmy, z tym, że miałem przestrzał, kula weszła i wyszła. I ten lekarz batalionowy mówi: „Chłopie, miałeś wielkie szczęście, bo ciut niżej to byś w ogóle nie włądał tą ręką”. Ja muszę powiedzieć, że wspaniałą mam rehabilitantkę, bo ja kiedyś to tylko do tej wysokości mogłem podnieść tę rękę, jak na przykład w mundurze gdzieś się występuje czy w stroju tam kombatanckim z beretem i jest hymn czy coś i trzeba salutować. No to musiałem sobie tą ręką pomagać, żeby salutować. A właśnie na skutek tej prawie już dwuletniej rehabilitacji co mam, to stale powtarzam idealna ona. To ja potrafię tak! To nawet dyrektor pułkownik Frątczak z Urzędu ds. Kombatantów zauważył „Och rety, mój pan” już, bo wszyscy zauważyli, że jak ja salutuje, to ja się tą lewą ręką podpieram, prawda. I to była ta jedna, a drugie to z lewej strony miałem taki przestrzał, ale to przez czapkę, to tam dwie... Gdyby niżej, to musnęła po włosach. To nic, nic, tylko tyle to to.

Grzegorz Łeszczyński: Tego samego dnia rozumiem były?

Janusz Maksymowicz: Nie, nie, to ta jedna seria, to taka cała seria, prawda? To było w tym samym momencie. I rozumiem został pan jakoś hospitalizowany? To znaczy zaraz powiem, jak się z tą raną... Poczułem takie ciepło, to nie żaden ból, tylko takie nagle ciepło, a to ciepło wzięło się stąd, że krew zaczęła lecieć. No więc zaraz zostałem ściągnięty i na punkt sanitarny.

Grzegorz Łeszczyński: Każdy batalion miał tam, powiedzmy, taki punkt sanitarny gdzie byli, sanitariuszki i lekarz, prawda?

Janusz Maksymowicz: No i dezynfekcja zatamowanie i ten opatrunek. Ale brałem dalej udział znany jako ten lekko ranny, ale ciężko ranny, bo najważniejsze to było zahamowanie tej tutaj, tej krwi. A natomiast skończyłem to w szpitalu. Dlaczego? Dlatego, że już jak byliśmy w Śródmieściu to mnie tam systematycznie zmieniali ten opatrunek. Ale ten lekarz batalionowy mówi: "Słuchaj". Chyba było to już zawieszenie broni. Już były rozmowy w tym Ożarowie na temat zaprzestania działań, ale było zawieszenie broni. To on mówi... Dał mi skierowanie do szpitala polowego na Mokotowskiej. On był dobrze wyposażony i tak dalej. I ja się tam zameldowałem, zameldowałem w tym szpitalu. No, popatrzyli, bo jemu się nie bardzo podobało to gojenie, „no i tam ci przynajmniej zrobią porządną opatrunek”. No to oni to popatrzyli, zrobili, prawda? I że tak powiem, zatrzymali mnie w tym szpitalu. Nie wróciłem do oddziału, tylko zatrzymali mnie w tym. I w związku z tym, jak oddział szedł do niewoli, to ja nie szedłem do niewoli, do niewoli z oddziałem, tylko byłem, jak była ewakuacja, ewakuacja szpitala na Mokotowskiej. To było z pewnym opóźnieniem, bo najpierw oni przyjmowali, prawda? Przyjmowali oddziały do niewoli, prawda? Broń zdawali i tak dalej.